



**„Niekompletność”
Grzegorz Gortat**

1.

KIEDY OJCU ucięli nogę, czyli już po wszystkim, zaczął o sobie przypominać. Ważne: gdy dowiedziałem się o tej historii, ojciec już nie żył. Noga poszła do piachu trzy lata przed nim. Miał czas przywyknąć. Nie każdy ma to szczęście. Lewa czy prawa? Dla ojca, myślę, nie bez znaczenia. Chociaż, jakkolwiek by patrzeć, rachunek jest ten sam: noga plus dwie kule to nie to samo co para nóg.

A ci mają obie nogi — i dokąd one ich niosą? Idę za nimi. Chcę zobaczyć. Chociaż nie żywię wielkiej nadziei. Mają swoje zegarki i więcej im nie trzeba. Całą chmarą ciągną na rynek, gromadzą się pod ratuszowym zegarem, by pod niebem rozświetlonym noworocznymi fajerwerkami oczekiwać północy. Tańczą, piją szampana i nie wiedzą.

Tamten jeden wie? Odłączył od reszty i idzie pustymi ulicami. „Skoro jest nas dwóch — pomyślałem — nie wszystko jeszcze stracone”. Usłyszał moje kroki. Obejrzał się, ale nie przyśpieszył. Cel miał już na wyciągnięcie ręki. Ze zręcznością cyrkowca wdrapał się na balustradę mostu i skoczył. Z tysiąca odpowiedzi znalazł tę właściwą — i się nie zawahał.

Pomyśleć, że mogłem być na jego miejscu. Jakże go zniechęciłem!

[...]

2.

W sobotę wybrałem się pociągiem do K. Od tygodnia nie padał śnieg i pogoda była znośna. K. to niebezpieczne miasto. Pełne ślepych uliczek i Historii. Ja poruszam się pewnie, bo widzę więcej. Właściwie przyjechałem tu dla jednego poety. Obszedłem wszystkie miejsca, które miał zwyczaj odwiedzać, potem nawiedziłem cmentarz. Nic się nie zmieniło. Pamiętają. Nawet w zimowy powszedni dzień na grobie poety kładą cięte kwiaty i zapalają znicze.

Podniosłem kołnierz płaszcza i do wieczora błąkałem się po wąskich, zadbanych uliczkach, wreszcie, zgłodniały, zaszedłem do pierwszej napotkanej restauracji. Usiadłem przy pojedynczym stoliku, z dala od okna, rozejrzałem się po ciemnych, pachnących stodołą kątach. Zjawił się kelner i jego widok upewnił mnie w moich podejrzeniach. Przypadkiem trafiłem do jednego z owych drogich lokali, gdzie bogaci i dobrze urodzeni zamawiają pierogi okraszone słoniną. W prawie pustej sali jadłem wiejskie pierogi i zerkałem na dwoje jedynych poza mną gości. On, nie krępując się moją obecnością, przykrywał ręką dłoń towarzyszki i zaglądał jej w oczy. Grzane wino rozpalało policzki kobiety. Jadła mu z ręki wiejski chleb i pozwalała rozchyłać sobie kolana. Miał byczy kark,

więc choćbym się odważył, nie dałbym mu rady. A więc się stanie. Zaprowadzi ją do swojego pokoju, zerwie z niej sukienkę i już nic im nie przeszkodzi. Kto, jeśli nie ja, powinien na odchodnym krzyknąć, że winni zapytać o zgodę tego, który z takiej nocy może się narodzić? Zapłaciłem, zbeształem kelnera i ruszyłem przez bezludny rynek do hoteliku przy pałacowej bramie, w którym wynająłem na jedną noc niedrogi pokój z widokiem na dachy domów.

3.

Y. JEST redaktorem naczelnym w dużym wydawnictwie. Powierzyłem mu moją książkę, bo bywa też poetą. Poprosił mnie do siebie po dwóch miesiącach, widać uznał, że zbyt natrętnie kłaniam mu się na ulicy. Zanim zwrócił mi zapisane stronice, pochwalił lekką zimę, po czym długo i uprzejmie wypytywał o zdrowie. Dobrze ich wychowują. Ale mylił się, sądząc, że mu wybaczę. Y. ma miękkie dziewczęce dłonie i oddając rękopis, tłumaczył, że książki coraz gorzej się sprzedają. A ja dorastałem wśród dużych, nieforemnych dłoni. Przez lata kaleczyłem nazwiska zagranicznych pisarzy, którymi Y. żongluje jak losem moich wierszy.

Na korytarzu minąłem dyrektora wydawnictwa. Skrzywił rybią twarz, jakby zwęszył padlinę.

4.

A JA MAM swoje obrazy. Przyszła do mnie pani de R. i zażądała portretu. R. zna najważniejsze osoby w mieście. Na handlu własnym ciałem dorobiła się majątku i zyskała powszechny szacunek.

- Oczywiście – odrzekłem, nie bez zazdrości patrząc, jak wspaniałomyślnie się z nią obeszła natura. R. ma twarz, jaką malarze przechowują w najskrytszych szkicownikach.

- Niech pan zaczyna. – I weszła za parawan.

Rozdrażniła mnie tym. Sprzedaję talent, ale jestem panem własnego czasu.

- Po co ten pośpiech? – sarknąłem.

- Bo umieram.

Stała przede mną naga. Zadrzałem. Zląkłem się, że zbraknie mi umiejętności i odwagi. To, co widziałem jako doskonałe, miałem stworzyć na nowo bez popełnienia jednego błędu.

Trzy godziny później, już ubrana, rozejrzała się po ścianach mieszkania, w którym żyjemy zgodnie – ja, obrazy i książki.

- Będę jutro o tej samej porze – zapowiedziała, nie pytając mnie o zdanie. –
Proszę dobrze napalić w piecu.

Nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Zamknąłem za nią drzwi i wpatrzony w szkic na sztalugach, rozmyślałem nad szczęściem.

9.

Pamiętam, siedziałem i się nadymałem. Starąłem się jak diabli. Ojciec miał nadejść lada moment, więc matka mnie poganiała. Odświętne marynarskie ubranko leżało na stole. Zegar wybijał kolejne kwadransy. Oczywiście, nie zdążyłem. Ojciec zastał mnie na plastikowym nocniku.

- Czym ty go karmisz? Wiórami?
- A kiedy ostatnio płaciłeś alimenty?
- Dałaś mu mydła?
- Zwariował!

Kluski z serem dzień w dzień, ze skwarkami od święta, więc po tych kluskach miałem zatwardzenie jak się patrzy.

- Wsadź mu mydło, to pójdzie!

Pomogło. Matka wystroiła mnie w marynarskie ubranko i wyszedłem z ojcem. Od teraz tak mieli mnie wychowywać. Matka długoterminowo, on na raty. Tego dnia przypadała pierwsza rata.

- Dokąd chcesz pójść?

Miałem trzy lata i znałem tylko trzy miejsca: kościół, przedszkole oraz sklep spożywczy, do którego czasem sam się wypuszczałem, bo właścicielka częstowała mnie cukierkami. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Była niedziela.

- Do kościoła?
- Głupiś!

Zaprowadził mnie do lunaparku z karuzelą. Bałem się tej karuzeli, ale wstydzilem się przyznać. Ojciec stał w dole, machał do mnie, a ja, trzymając się kurczowo łańcuchów, przełykałem ślinę i walczyłem z żołądkiem, w którym kotłowały się niedzielne kluski z grzybowym sosem. Potem ojciec zaprowadził mnie na strzelnicę i ustrzelił szmacianego pajaca. Posadził mnie na osła, żeby zrobili mi zdjęcie. Wmusił we mnie wate cukrową. Obejrzeliśmy się w krzywych zwierciadłach, zwiedziliśmy gabinet osobliwości, gdzie za szklaną szybą stał liliput o złośliwej twarzy starca. Poczułem głód i ojciec zamówił kielbaski z musztardą.

Zapadł wieczór. Wsiedliśmy do tramwaju i przy dużym dwupiętrowym budynku, tuż za rondem z pomnikiem, wysiedliśmy, biegiem pokonaliśmy długą sień, pięć schodków i słabo oświetlony hol prowadzący na widownię. Zajęliśmy drewniane,

skrzypiące fotele. Pachniało stęchlizną, wszyscy kasłali. Wcale mi się tam nie podobało. Ale zgasło światło, podniosła się kurtyna i raptem znalazłem się po drugiej stronie życia. Szalała burza, falowało oświetlone reflektorami morze, na moich oczach z kokonów szmacianych sukien wykluwały się młode wróżki, tak urodziwe, że za jeden uśmiech dałbym się posiekać na kawałki. I kiedy podstępny staruch w przebraniu księcia próbował jedną z nich zwabić do komnaty, zerwałem się z fotela i rzuciłem w jego stronę torebkę z cukierkami (podobne wzburzenie przeżyłem kilka dziesiątków lat później, kiedy wielokrotnie odczytywałem zdanie o ślepnącym pisarzu, na starość mianowanym dyrektorem biblioteki, który krocząc między labiryntami półek, uskarża się przed sobą, że Bóg jednego dnia zesłał mu osiemset tysięcy książek i ciemność).

Tego wieczoru pojąłem, że dla sztucznego życia – jarmarcznie i lingwistycznie najbliższej spokrewnionego ze sztuką – warto żyć.

Wracaliśmy późno, ulicami, jakich o tej porze nie znałem. Wszystko zdawało mi się obce: zbyt ubrani mężczyźni, z którymi ojciec witał się po imieniu, oraz kobiety, które pachniały perfumierią, dwoma palcami ujmowały mnie pod brodę i zaglądając mi w oczy, przekomarzały się z ojcem.

W domu matka wzięła mnie na spytki. Gdzie byliśmy? Co ojciec robił? Z kim się spotkał? Pił? Łgałem jak najęty. Oglądała mnie z każdej strony, ale niczego nie zobaczyła. Tajemnicę nosiłem już głęboko w sobie. Gotów byłem ojcu wybaczyć. Wybaczyłem mu to życie na raty, jakie mi pospołu z matką zafundował. Wybaczyłem, że dał mi nazwisko, które przez lata dzieciństwa widywałem pisane wytłuszczonym drukiem w gazetowych kronikach kryminalnych.

10.

LEDWO nieznany mi ksiądz odmówił modlitwy, nad świeżo wykopany grób przepchał się burmistrz F. i z kartki wyrecytował plugawe przemówienie, na koniec okraszając je zawołaniem, ileż to E.M. mógłby jeszcze stworzyć, gdyby dane mu było żyć dłużej. Zamarłem. Patrzyłem ze zgrozą na twarze odświętnie ubranych żałobników. Ale poza mną nikt się głupotą F. nie przejął. Splunąłem F. pod nogi i odszedłem. Co taki wie o artyście? Skoro się zabił, to znak, że doszedł do kresu. Od teraz mógłby już tylko żyć.

Wróciłem do domu, otworzyłem szafę, by odwiesić czarny garnitur — a w szafie E.M. łypnął na mnie ponuro.

— Widziałeś? — spytałem.

— Widziałem.

— Pluj na takiego.

— Gównu wie. Kłania się Bogu na reprodukcjach, a obrazy pozamykał w piwnicy.

Wzdragałem się przyglądać E.M. zbyt nachalnie. Nie patrzyłem na szyję, gdzie sinoczerwonym znamieniem odcisnęła się pręga.

— Egon?

Obrzucił mnie spłoszonym spojrzeniem. Ale nie potrafiłem już się powstrzymać.

— Dlaczego, Egon? — zapytałem.

Splunął mi pod nogi i wyszedł, unosząc ze sobą trzy obrazy, które przez lata znajomości mi podarował. [...]

Więcej informacji na stronie <http://www.nk.com.pl>